

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 1 — 3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: $\frac{1}{1}$ strona — 80 zł.
 $\frac{1}{2}$ " — 40 "
 $\frac{1}{4}$ " — 20 "
 $\frac{1}{8}$ " — 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Czy nie wstyd?

Wyrok Trybunału Haskiego do tego stopnia zaskoczył i skonsternował polską opinię publiczną, że prasa polska przez dłuższy czas powstrzymywała się od zabrania w tej sprawie głosu. Dopiero później odezwał się na ten temat krakowski „Czas”, wystąpił Nowaczyński, nazywając rzecz po imieniu, odezwały się inne pisma. Odezwali się też dwaj tutejsi „specjaliści” od spraw litewskich: p. Władysław Studnicki i p. A. C. Pierwszy na łamach „Słowa” („Z powodu Haskiej uchwały” — Nr. 248 z 28.X.), drugi zaś — w „Kurjerze Wileńskim” („Praktyczne skutki opinii Trybunału w Hadze” — Nr. 251 z 30.X.).

Zgodnie z chronologią, zajmiemy się najpierw artykułem p. Studnickiego. Na samym wstępie popełnia p. Studnicki nieświadome — należy przypuścić — kłamstwo, pisząc: „Motywy nieco dziwnego, nieoczekiwanego wyroku Trybunału Haskiego nie zostały jeszcze ogłoszone”. P. Studnicki pisał te słowa w d. 28.X., podczas gdy motywy wyroku opublikowane zostały w oficjalnym komunikacie Trybunału Haskiego już w d. 15.X. (serja A/B. fasc. Nr. 42). W 13 dni po publicznej motywacji wyroku, p. Studnicki nic jeszcze o niej nie wie.

Dalej wkracza p. Studnicki w gąszcz sofistyki, notabene zgoła niewybrednej, gdyż pisze: „Taktyka państwa litewskiego wobec sprawy wileńskiej jest całkiem nielogiczna. Litwa chce mieć Wilno, więc zrywa z niem jawne stosunki kulturalne i gospodarcze”. P. Studnicki udaje, że nie wie o co Litwie chodzi. Litwa systematycznie, konsekwentnie i — wbrew nieszczeremu twierdzeniu p. St-go — zupełnie logicznie stosuje od szeregu lat taktykę bojkotu nie Wilna, lecz Polski, taktykę niestwarzania żadnego precedensu, mogącego Polsce posłużyć za asumpt do dalszego stabilizowania wileńskiego status quo. P. Studnicki wie w tem wszystkim doskonale. Wie-

dzą o tem również jego czytelnicy. Kogoż więc chce p. Studnicki w błąd wprowadzić?

Dalsze wywody autora są poprostu zdumiewające: „Litwa właściwie nie chce Wilna, a cały spór o Wilno jest wywołany chęcią odgródnienia się chińskim murem od Wilna i Ziemi Wileńskiej. Bezwarunkowo jest to myśl przywódców politycznych narodu litewskiego”. Zaiste, przenikliwość polityczna p. Studnickiego byłaby godną podziwu, gdyby jego twierdzenie nie było gołosłownem i początem z bujnej imaginacji. Nie o wiele większą ma wartość teza, że „Ziemia Wileńska przy Rosji to niebezpieczeństwo dla Litwy, gdy przy Polsce jest gwarancją niepodległości Litwy”. Kogo p. Studnicki chce przekonać? Z dwóch sąsiadów: Polski czy Rosji, Litwa przecież stanowczo woli Rosję. Powody tego są jasne: Rosja traktatem moskiewskim z 12.VII.1920 Wilno Litwie przyznała i w jakiś czas potem je ewakuowała; Polska zaś traktatem suwalskim z 7.X.1920 również Wilno Litwie przyznała, lecz już po dwóch dniach z powrotem je zajęła. A zamach P. O. W., a popieranie akcji „pleczkajtisowców”, a pobrzękiwanie szabelką w październiku 1927 r.? Doprawdy mógłby p. Studnicki zaoszczędzić sobie kompromitacji, powstrzymując się od obłudnej deklamacji na temat „prawdziwych przyjaciół Litwy”.

P. Studnicki zresztą znany jest ze swych wystąpień, o tyleż kategoriicznych i apodyktycznych, o ile mało przemyślanych. Gdy się jednak podobnie płytkie, niepoważne i sofistyczne traktowanie tak żywej dla nas, mieszkańców Wileńszczyzny kwestji stosunków polsko-litewskich napotyka w „Kurjerze Wileńskim” — ręce poprostu opadają. Oto ostatnio, wspomniany już p. A. C. usiłuje na łamach tego pisma udowodnić ni mniej ni więcej jak tylko to, że sukces w Hadze odniosła... Polska. Wyraźnie Polska. „Gdyby przeto — pisze p. A. C. — opinia Trybunału Haskiego była odmienną, niż się okazała

i gdyby miała się przyczynić do praktycznego załatwienia sprawy w myśl zaleceń Ligi Narodów — to Polska znalazłaby się w obliczu istotnego niepowodzenia politycznego” i dalej: „...otwarcie komunikacji polsko-litewskiej na warunkach, opracowanych ostatnio przez Ligę Narodów, byłoby walnym zwycięstwem litewskiego stanowiska, a niewątpliwą przegraną strony polskiej”, a wreszcie: „obecnie wypada jedynie cieszyć się, że traci ono (wznowienie komunikacji polsko litewskiej) widoki urzeczywistnienia dzięki orzeczeniu Trybunału w Hadze”.

Linja rozumowania p. A. C. jest następująca: Komunikacja z Litwą jest klęską dla Polski; mimo to Polska usilnie domagała się otwarcia tej komunikacji; czyniła to jedynie i wyłącznie w interesie Litwy; Trybunał Haski na szczęście nie przyjął wspólnomyślniej ofiary Polski; wołał skrzywdzić Litwę i nie zmuszać jej do otwarcia komunikacji; w Hadze wygrała więc tylko Polska; cieszymy się przeto.

Cała ta opaczna i niezgodna z rzeczywistością argumentacja mocno przypomina bajkę o lisie i winogronach. Zresztą wolno p. A. C. być optymistą, wolno *faire une bonne mine au mauvais jeu*, wolno ludzi, jeżeli nie innych, to przynajmniej siebie. Ale dlaczego tego rodzaju artykuły zamieszcza „Kurjer Wil.”, uchodzący przecież za organ prorządowy i będący zwykle echem nastrojów, panujących u góry? Minister Zaleski w swem ostatnim *exposé* w Sejmowej Komisji Spr. Zagr. wyrok Trybunału Haskiego pominął całkowitem milczeniem. Czyż nie lepiejby uczynił „niezależny organ demokratyczny” idąc w ślady min. Zaleskiego i nie ośmieszając się bez potrzeby, zamieszczaniem tego rodzaju naiwnej interpretacji wyroku haskiego?

*

Ale mówmy poważnie.

Nie z chęci dokuczenia wspomnianym autorom i pismom, nie przez złośliwość i nie dla próżnego

efektu piszemy to wszystko. Nasza zjadliwość wpływa jedynie z poczucia bezsilności wobec lekkomyślnej taktyki polskiej prasy wileńskiej, stale zbywającej doniosłe zagadnienie stosunków polskoliteńskich albo komunałami, albo sofizmatami, albo obłudną frazeologią. Nie poczuwa się ona do żadnej odpowiedzialności wobec historii za niesumienne informowanie własnego społeczeństwa, za brak dobrej woli, za karygodną obojętność względem tej najważniejszej dla naszej tu przyszłości kwestji.

I nie może usprawiedliwiać swego nieobywatelskiego postępowania argumentem, że problem jest trudny, niemal niemożliwy do rozwiązania i że nie pozostaje nic innego jak go bagatelizować, broniąc *per fas et nefas* istniejącego stanu rzeczy.

Na tego rodzaju rozumowanie daje doskonałą odpowiedź publicysta krakowski p. Stanisław Sopicki, który zwiedził niedawno Republikę Litewską, zdał sprawę ze swych wrażeń z rzadkim obiektywizmem na łamach „Głosu Narodu” a zakończył je wcale rozsądnym artykułem p. t. „Czy możliwe jest porozumienie z Litwą?”.

Otóż w tym ostatnim artykule przyznaje się p. Sopicki z całą szczerością, że nie posiada żadnej koncepcji, któraby zadowolili obie strony. Ale—powiada—czy koniecznie trzeba znać całą drogę, którą przebyć należy? Czy nie wystarczy widzieć cel?

„Z szukaniem drogi w polityce jest czasem podobnie jak z szukaniem drogi w nieznanym górach. Widzimy szczyt, ale na pierwszy rzut oka wydaje się, że żadna droga doń nie prowadzi. Po rozpoczęciu marszu odnajdujemy jednak nieoczekiwane ścieżki i przejścia niewidoczne zdaleka. Otóż i w polityce trzeba wyjść z nizin i bagna wzajemnej niechęci i nienawiści i zacząć iść w górę ku szczytom. Trzeba iść wytrwale i z mocną wiarą w przewyciężenie przeszkód, z nadzieją, że przepaści będą zasypywane

V. KRĖVĖ-MICKIEWICZ.

Marne życie.

Przełożył z litewskiego W. Zaleski.

(Dokńczenie).

Choćby i ksiądz. Jego nie zawoła do siebie, za stołem nie posadzi, chociaż do bractwa się zapisał. A Draguszauskasa i sadza przy sobie, i herbatę raze m pije i je razem.

Chyba dla biednego człowieka niema sprawiedliwości ani u Pana Boga, ani u księży. Bądź, człowiecze, złym, Pana Boga się nie bój, księży kluj, jak ten Draguszauskas, to Pan Bóg ci dopomoże, będzie ci się wszędzie wiodło i ksiądz będzie ciebie szanował. A teraz kto ciebie szanuje, kto ciebie słucha? Rodzone dzieci i te słuchać nie chcą.

Cieężko człowiekowi. Nie życie, a piekło prawdziwe. I końca tego nie widać.

W tem Dwajnis stanął i obejrzał się. Oto tu onegdaj rąbał drzewo, zdaje się, że to samo, wylał ostrze siekiery, a drzewa nie zrąbał. I tu Pan Bóg nie dopomógł. Nieś teraz, zapłać dwie złotówki, a może nawet jeszcze więcej.

Zoddali począł dolatywać głos dzwonów. Dzwoniono na sumę.

Oto wołają one ludzi do kościoła, a on spóźnił się, nie zdąży. Zresztą co z tego, że pójdzie do kościoła? Módl się, czy nie módl, to same lichy: dobrego nie doczekasz i basta.

— No, Panie Boże, jeżeli Ty mnie tak, to i ja Tobie tak samo. Ty mnie za moje modlitwy dobrego nie dajesz, to ja do Ciebie nie będę się modlił, ale oto co zrobię. Ot, tam nabożeństwo ksiądz odprawia, a ja las będę rąbał!

Teraz Dwajnis poczuł w sercu tyle smutku, i taka go złość opanowała, że ukląkł na ziemi przy drzewie, rąbnął wylamaną siekierą raz, drugi i trzeci. Aż echo poszło po lesie.

Zaledwie rąbnął trzeci raz, gdy nad jego głową

także z przeciwnej strony, że z obu stron torować się będzie drogę ku lepszej przyszłości“.

Czyż nie wstyd publicystyce wileńskiej, że trzeba jej stawiać jako wzór do naśladowania organ krakowskiej chadecji?

Zapomnienie historii.

Nie na wszystkie poszczególne poglądy Sz. Autorki możemy się zgodzić bez zastrzeżeń, zasadniczą jednakże myśl artykułu podzielamy w zupełności *Red.*

Jedną z największych krzywd zadanych nam przez stuletnią niewolę rosyjską, jest zaszczepienie w umysłach naszych niepamięci własnych dziejów — *zapomnienie historii*. Nie znamy jej, mianowicie na rozłogach tego wspaniałego niegdyś Jagiełłowo-Witoldowego państwa — od Połagi do Odessy, ignorujemy pochodzenie własne, pozwalamy zmyślać o tych ziemiach swych ojczystych niestworzone rzeczy. W pamięci nam zostały stosunkowo świeże epoki, a w nich dokonane bohaterstwa, poniesione cierpienia i klęski, ale nie wiemy o *prawach* najgłębszych i najdalszych do wydartego nam dziedzictwa, o prawach do tego kraju odzyskanego niedawno w ruinach materialnych i moralnych.

Inteligent tutejszy nie wie właściwie skąd pochodzi; chłop, prócz tego że jest człowiekiem, nie wie do jakiego plemiennego ogniska należy. My, warstwa wykształcona, straciwszy kontakt z prawdą dziejową, nietylko go nie objaśniamy, ale w błąd wprowadzamy. Wszelką bowiem *niewiedzę*, a w niej nas samych, chwyta w obroty wszechwładna pani dnia i epoki — polityka, i prowadzi ogół w kierunku wskazanym przez panujące w danej chwili poglądy. Czy te poglądy zgodne są z prawdą, leżącą na dnie sumienia ludów, którymi rządzi, czy potwierdza je doświadczenie wieków — historia, ta wszechwładna pani nie pyta. Rządzi i panuje. Stąd wytwarzają się komplikacje

i starcia w targanem życiu narodów, państw i społeczeństw, starcia i walki nieuniknione, od których obronić może tylko — *zasada i wiedza*.

Zasadę — świat ma doskonałą — Chrystusową. Cierpi, jeśli nie chce jej stosować. Ogół nasz, wszystkich warstw, w większości jej hołduje — ale światło *wiedzy* w dziedzinie pierwszej wagi, w dziedzinie stosunków dawnej naszej, trójnarodowej rodziny państwowej, to światło wiedzy koniecznej w urzędowaniu nowych warunków bytowania politycznego — zagasła w umysłach naszych stuletnia niewola.

Rosja, zamykając kościoły i szkoły, kasując zakony, burząc Unję — dokonała nieledwo „tabula rasa“ na powierzchni kształcenia publicznego w krajach naszych. Zamknąwszy w ciemnicy lud, zwolna, od Karamzina do łowajskiego fałszowała historję w zakładach naukowych wszystkich naszych ziem podbitych. Zdołała otumanić Europę pustą i kłamaną ideą słowianofilstwa, (tumani nią dotąd). Po umysłach pokoleń kształconych w naszych porozbiorowych szkołach, rozlały się fałszywe poglądy o własnych ziemiach i ludach.

Prawda — pozostała znana tylko w szczupłym kółku fachowych uczonych albo ludzi zamiłowanych w toniach narodowych. Sztuczny pokost rosyjski historyczno-geograficzny pokrył kraje nasze do tego stopnia, że urzędnicy z b. Królestwa lub Galicji, przybывая tu w nowych czasach, nie umieli sobie dać rady z pojęciami Ruś, Rosja, Białoruś, ruski, rusiński, rosyjski, — i nie umieją dotąd. Ogół inteligentny ich nie objaśnia i sam zaraża się terminologją spletaną i błędną. Za nazwą fałszywą idzie fałszywe pojęcie, za pojęciem — uczucie, i tak się wytwarzają w społeczeństwie prądy duchowe, w praktyce życia społecznego prowadzące wprost na bezdroża.

W tej chwiejności pojęć, niepewności haseł i programów, przeciętny nasz inteligent trzyma się mocno pojęcia i uczucia polskości. Ale lud?... Któż mu powie kim on jest?

Tem, pożądanjsza ta prawda, że w labirynt naszych puszczo-ciemnych ścieżek, weszła odrodzona Unja religijna, chce dać ludowi większe światło dla jego sumień, mocny grunt dla cnót.... Kierownicy jej muszą być tedy w posiadaniu *prawdziwej* wiedzy

coś zatrzepotało skrzydłami, potem wrzasnęło tak strasznie, jakgdyby czterech djabłów się roześmiało.

Sójka siedziała na wierzchołku; przestraszona z krzykiem przeleciała na drugie drzewo.

Nie spodziewając się tego, Dwajnis bardzo się przeląkł. Wtem przypomniał sobie mnóstwo strasznych opowiadań o tem, jak to byli ukarani ludzie, którzy dnia świętego nie święcili.

Przypomniał sobie, jak jeszcze mu ojciec opowiadał, że jednemu człowiekowi, który w czasie sumy poszedł do lasu po orzechy, gadzina owinęła się na około szyi i na śmierć zadusiła.

Przestraszony skoczył i zaczął biec w kierunku drogi, oglądając się na wszystkie strony. Kilka razy wyrwał się, kilka razy noga trafiła do jamy. Zdawało mu się wciąż, że oto spadnie z drzewa gadzina i owinie się mu naokoło szyi.

Dopiero, gdy wybiegł na równy szeroki gościniec, przystanął i opamiętał się. Wówczas westchnął ciężko, przeżegnał się, zdjawszy czapkę, otarł pot z czoła i poszedł drogą ku miasteczku.

Zaledwie uszedł kilkaset kroków, gdy w tem zadudniło i na drodze ujrzał chłopców, pędzących konie do domu. Jeszcze zdaleka poczęli do niego krzyczeć:

— Wujaszku, i twego konia pędzimy.

Dwajnis przystanął.

— Jakto i mojego? Czyżby ksiądz oddał?

— Nie wiemy, znaleźliśmy na ulicy; może wypuścił, albo koń sam się wyrwał.

— A wy jak swoje dostaliście?

— Oskubaliśmy Mojsiowi brodę i oddał, — roześmiał się Michaś Daugelisa. Gwizdnął na konie, krzyknął i skoczył galopem. I tyle tylko było go widać.

Dwajnis wsiadł na konia. Zrobiło mu się jeszcze ciężiej na sercu, że napróżno tak bardzo zgrzeszył. Co będzie, jeżeli Pan Bóg chorobą ukarze?

— To wszystko przez ciebie! — krzyknął do konia, i serce jego wezbrała złością, jak wtedy w lesie. Z całej siły palnął konia pięścią w ucho. Koń skoczył w bok prosto na krzaki, i Dwajnis o mały

o nim, o jego źródłach *etnicznych*, dziejach jego wiekowej przeszłości, o *wspomnieniach* leżących na dnie jego duszy, o tem ogromnym—wczoraj, które dzień dzisiejszy prowadzi do nieznanego—jutra.

Kierownicy Unji przybyli do nas z programem danym zdaleka, z tego wyniosłego strategicznego punktu, skąd się prowadzi walka ze Złem całego świata. Dano im misję na kraje i ludy. Przysłał z Zachodu i zorganizował ich Rzym, z zadaniem niesienia jedyne, danego światu objawienia, nietylko u nas, lecz na olbrzymie przestrzenie Rosji po Ural i dalej. Odczuwamy silnie jak Wschód ten usiłował skuć nas z sobą, jak zatarł granice, sztucznym dymem do dziś dnia zakrywa jasność perspektyw, jak zwiódł i zwodzi europejski świat.

A stacja pierwsza Unji — u nas, na tej ziemi, która *nigdy rosyjską nie była* — na Białorusi. Stacja unijna założona w Albertynie, stoi na ziemi, najczystszej wschodniej Słowiańszczyzny, na tej Białorusi, która w zaraniu swoich dziejów rwała się do niepodległości, walczyła o nią mężnie przez kilka swoich księżących pokoleń, wreszcie przemocą złamana, oddzieliła się od silniejszych: Kijowa i Moskwy¹⁾, przywarła do dawnej Litwy, przez nią obroniona została od przywalającej Wschód—na górą dwa wieki—cała rosyjskiej i ukraińskiej niewoli tatarskiej; nie zaznała rządu Iwanów Groźnych i Piotrów; złączona państwem z Litwą a przez nią z Polską, i wspólnie z całą Wschodnią Słowiańszczyzną spokrewniona przez rasę z Zachodem, — własnym odruchem przyjęła Unję religijną,²⁾ rozwijać się poczęła samodzielnie bujnością własnej natury.³⁾ Jakże różną jest historia wschodniej, aryjskiej Słowiańszczyzny od historii Rosji!

A któż winien przypomnieć ją *nowym misjonarzom unijnym*, jeśli nie my, wykształceni, którzy w wielkiej większości z miejscowymi ludami jesteśmy jednego źródła?

Lud białoruski w najgłębszych pokładach swoich,

¹⁾ Burzenie Mińska przez Kijów (1084). Wywiezienie całego rodu ks. ks. Połockich do Carogrodu (1128 r.) etc. Połączenie Litwy (1307).

²⁾ Terlecki, Pocię, Rahoza (1595—6), Św. Józefat Kuncewicz.

³⁾ Franciszek Skoryna, siewca kultury, Białorusin łaciński, (1525 r.). Obudzenie się literatury białoruskiej i ukraińskiej w XIX i XX wieku.

drzemie jeszcze duszą, nieświadomy dotąd swej rzeczywistej indywidualności. Rozbudza ją komunizm, rosjanizm, polonizm. Rozbudza ją wreszcie — co najważniejsze — postęp czasów, który przez patriotów każdego narodu mówi mu, że jest sobą. Temu ostatniemu po wielu walkach przypadnie w końcu zwycięstwo, jako prawu przyrodzonemu.

Czy wolno nam, warstwie krajowej wykształconej — ignorować *to prawo*, nie widzieć powszechnej, po wielkiej wojnie, fazy rozbudzenia się narodowości? Zamiast kierować, wychowywać tę, z którą przeżyliśmy wieki i z której w wielkiej mierze powstaliśmy — czy wolno nam *zaprzeczać* jej istnienia, *krzywić rozwój jej naturalny*, lub *powtarzać o niej baśnie* jej i naszych przeciwników?

A tymczasem tak jest w nas i to wśród najlepszych częstokroć. W tych ostatnich niechybnie mniej przez tendencyjność, daleko więcej przez ów skutek niewoli—zapomnienie historii.

Leży przed nami broszura, wydana świeżo, bezimiennie, lecz przypisywana jednemu z kapłanów katolickich pełnemu zasługi społecznego w Wileńszczyźnie. Nosi tytuł: „Akcja misyjna wśród prawosławnych na wschodnich kresach Wileńszczyzny“. Przejęta jest duchem najczystszej chrystianizmu, apostołstwa z czasów Apostołów i ten duch sprawia, że autor, kapłan łaciński i zwolennik tego obrządku dla Białorusi—zastrzega się silnie, iż nie jest przeciwny obrządkowi wschodniemu, tam, gdzieby jednostki albo grupy naszego prawosławnego ludu tego właśnie obrządku żądały. Ale choć lud zna moralnie, jakże o nim mówi naukowo?.. „Mogą siebie i nadal (włóścianie nasi) uważać narodowościowo za Rosjan“ — nic się temu sprzeciwić nie ma przyjaciel ich ksiądz katecheta (str. 13). A gdy wspomina o języku ludu na naszych „Kresach“ — (biedne skurczone kresy!), twierdzi, że jest to język mieszany, „rosyjsko-polski, który pospolicie się zowie *gwarą białoruską*“.

Dosyć tych dwóch fałszów naukowych, aby wzdrygnął się na nie młody patriota Białorusin i dla nich odrzucił całą, dobrą i mądrą broszurę. Za silne w niej echo rosyjskich podręczników—ciemnej pamięci. Gorzej jeszcze w polemice o pierwszym unijnym zjeździe pińskim, wyraził się w wywodach swoich, ks. Ś. profesor wileński, który szuka drogi do „ro-

włos nie spadł. Jeszcze bardziej się rozżołał i uderzył konia z drugiej strony. Koń skoczył w drugą stronę z powrotem na drogę. Dwajnis walił go pięściami i piętami. Koń popędził galopem, Dwajnis wkrótce dogonił chłopców i nawet przepędził ich.

— Oho, jak stary pędził — Czyż my się jemu poddamy?

Gwizdnęli, krzyknęli, uderzyli konia czem kto miał, konie skoczyły galopem i tak pędzili aż do wsi. Dwajnis już dawno chciał zwolnić biegu, lecz nie mógł. Złość, jak raptownie powstała, tak i przeszła nagle. Słyszał tylko, jak u konia śledziona gra, i żał mu jego było.

Wjechawszy na podwórko zsiadł z konia i, widząc, jak ten ciężko dyszy, pogłodził go po szyi i wpuścił do sadu.

— Po co go tak pędziłem?—co winien koń?—Rozumu przecie nie ma.

Wszedłszy do chaty Dwajnis usiadł ciężko na ławie i westchnął. Żona siedziała przy oknie i odmawiała pacierze.

— Jakim sposobem konia tak prędko przypędziłeś? — spytała, lecz Dwajnis nic nie odpowiedział. Długo jeszcze tak siedział ze spuszczoną głową i myślał.

— Czy dużo mamy pieniędzy?—spytał wreszcie. Żona przerwała pacierze i popatrzała na niego z uwagą.

— Co ci się stało? Czy może nieszczęście jakie się przydarzyło.

— Nic się nie stało, tylko chcę wiedzieć, czy dużo mamy pieniędzy.

— Może będzie jakie dziesięć rubli.

Dwajnis znowu długo milczał i myślał. Dwajnisowa, skończywszy się modlić, pocałowała krzyżyk i założyła różaniec na szyję.

— Czy konia ci darmo oddali? — spytała, lecz mąż jej znowu nic nie odpowiedział.

— Czy wiesz co, stara? — przemówił wreszcie: myśmy jeszcze egzekwii nie zakupywali. Ja dziś ciężko zgrzeszyłem. Daj mi wszystkie pieniądze, pójdę do księdza...

syjskiej duszy“ prawosławnego ludu w naszym kraju. „Rosyjska dusza“ naszego ludu?.... Tu już nietylko Białorusin, ale wzdrygnąć się musi każdy światlejszy Polak sprawiedliwy, który kocha kraj nasz nietylko dla państwa, lecz i dla niego samego. Ciekawe jest wrazenie światłego czytelnika, który patrzy na tę fantasmagorię: „jedna“ dusza ludu od Permu do Nowogródka!

Spóźnionym uczniom Iłowajskiego w nauce dziejów rodzinnego kraju, trzeba przypomnieć, że jeszcze stary Nestor w XII wieku, więc 700 lat temu, wskazał kapitalne różnice rasowe na wschodzie Europy. Wskazał, że wzdłuż Dźwiny i Dniepru, w basenach tych magistralnych rzek, mieszkają ludy słowiańskie — (rzecz można: prasłowiańskie): Krywicze (Białorusini), Dregowicze (Poleszuci), DREWLANIE (Wolyń), Polanie (Ukraina) i in. a poza niemi, na Wschód, siedzą we własnych krainach i miastach, ludy całkowicie im *obce*, mówiące różnymi językami¹⁾. Nestor nic się nie dziwi (obyczajem wieku), że Russ-Warragowie podbiwszy Słowian Wschodnich i te różno-języczne ludy, nazwali je wszystkie razem *Russami* od swego imienia, a gdy się ten ogromny konglomerat zbił w jedno straszliwym despotyzmem, historia rosyjska milczy, że profesorowie rosyjscy brali kije od Semiramidy północnej za twierdzenie, że Rosja *nie jest* słowiańska. Uczni zamilkli, ustępując miejsca fikcyjnej teorii słowianofilów — imperatorowa zaś nie mało miała kłopotu zanim potrafiła rosyjskim sposobem uciszyć język fiński w samych okolicach, Moskwy²⁾.

Fala azjatyckiego ducha i politycznego obyczaju załała nas na sto lat, a gdy się cofnęła, dzięki kataklizmom ewolucji światowej, zostawiła osad szkodliwy, z którego *nietylko* ludy nasze oczyścić się winny. W tych warunkach wchodząca do nas — rzec można, niespodzianie — odrodzona Unja religijna, zastała nietylko lud na rozdrożu, lecz i umysły ogółu nieprzygotowane.

W mglistych przedświtach, po ledwo znikającej ciemnej nocy, widzimy nie to co jest, lecz co się nam widzieć zdaje. Grupa literatów — dziennikarzy wileńskich rozpędzona w jednostronnym kierunku, ujrzała niebezpieczeństwo tam, gdzie wchodzi moralny rabunek. Podniesiono larum wielkie, obrzucono podejrzeniami stojącego na czele misji nieproszonego gościa, mimo wspaniałego mandatu z jakim wchodził. Nie zaproszono go do *koła własnego* dla niezbędnego porozumienia z opinią publiczną, owszem, na trybunie jednego z głównych pism wileńskich dano głos przeciwnikowi misji i mandatu, jednemu z członków owych mikołajowskich starych szeregów, które wtrąciły lud nasz w marazm i głód duchowy³⁾. Niektóre pióra dziennikarskie dostały w tych kwestjach prawdziwego delirium tremens, wzywając na świadków swych urojeń widma przeszłości, wprost przeciwne dążeniem i duchowi misji.

Stało się to dlatego, że wchodząca Unja dotknęła odrazu całego splotu nierozwikłanych u nas, drażliwych kwestyj religijnej, narodowościowej, językowej, oświatowej — wszystkich, prócz pierwszej, na

¹⁾ Wes, Mera, Muroma, Mordwa i in.; późniejsza nauka uznała w nich fińsko-mongolskie podłoże i główną treść plemienną Rosji.

²⁾ Zastrzeżenia nasze dotyczą przede wszystkim tego właśnie ustępu. Silna domieszka pierwiastka mongolskiego na północy i wschodzie Rosji nie upoważnia do kwestjonowania w niej przewagi słowiańskiego: Psków, Nowogród, ziemie nad Oką i Desną mają przecież charakter czysto słowiański. (Przyp. Red.).

³⁾ Żeleźniakowicz, świąszczennik prawosławny, na łamach „Słowa“ wileńskiego.

podłożu politycznym. I jeśli dla rozwikłania ich koniecznym jest zacząć od znajomości historii, niezbędnym się staje potem wejście głębokie w *kryteria* — działania publicznego na polach społecznych, narodowych i państwowych — w kwestję *zasad*.

Futurus.

„Nowy“ i „najnowszy“ kurs polityki polskiej w sprawie białoruskiej.

IV.

Bądźmy jednak sprawiedliwi względem ideologa „najnowszego kursu“: popełniwszy wspomniany wyżej grzech religijny, wkroczywszy — w wyniku tego upadku — na niebezpieczną drogę, powiedzmy wprost, nacjonalizmu, ś.p. Hołowko zdążył postawić na niej za ledwie pierwsze kroki. Dlatego też w jego „szkicu programu państwowego polityki białoruskiej“ — obok oburzających każdego uświadomionego Białorusina postulatów — znajdujemy szereg punktów, nietylko poddyktowanych przez zdrowy zmysł państwowy, ale nacechowanych nawet szczerą życzliwością względem „ludności białoruskiej kresów“. Wewnętrzna „tragedja Hołowki“ (określenie p. St. Thugutta) polega jednak na tem, że wszystkie te objawy przychylności wobec *ludności* białoruskiej pozostają w jaskrawej sprzeczności z wyraźną niechęcią do *narodu* białoruskiego...

Program Hołowki bowiem oparty jest na całkowitej negacji duchowej indywidualności narodu białoruskiego, na kompletnym ignorowaniu jego inteligencji.

A przecież z roli inteligencji w życiu narodem społeczeństwo polskie zdaje sobie sprawę doskonale.

Oto, jak dobitnie pisał w tej kwestji znany badacz polski Edward Maliszewski w r. 1918, gdy — w przededniu konferencji pokojowej w Paryżu — społeczeństwo polskie szukało porozumienia i poparcia ze strony litewskiej i białoruskiej inteligencji.

„Przecież nawet społeczeństwa nie mające przeszłości historycznej — pisał on — składające się z jednego tylko ludu wiejskiego, o tyle tylko postępują w swym ogólnym kulturalno-narodowym rozwoju, o ile są zdolne i są w stanie wytworzyć warstwę inteligencji, która jest nietylko mózgiem narodu, ale jego wola i charakterem“.

Wówczas, przed decyzją konferencji pokojowej i przed traktatem ryskim, mózg, wola i charakter narodu białoruskiego były widocznie jednak potrzebne politykom polskim. Obecnie — nawet w programie Tadeusza Hołowki — wszystko to, — dla „ludności białoruskiej“, dla „niehistorycznego ludu wiejskiego“, może i powinno być zastąpione z powodzeniem przez element polski.

„Wielki proces historyczny demokratyzacji starożytności — pisał dalej w swej broszurze wspomniany autor — wysunął na widownię życia kulturalnego na obszarze Litwy historycznej Litwinów i Białorusinów. Pomimo trudności i przeszkód, które stawiała Rosja, obydwie te narodowości zdążyły założyć trwałe fundamenty pod budowę własnych, odrębnych i niezależnych organizmów narodowych. Naród polski i tu i za Niemnem w ogromnej swej większości patrzy z gorącą sympatją na pierwsze kroki swych sąsia-

dów (!) na polu samodzielności narodowej, w przekonaniu, że staną one razem z nim do walki o restrykcję wspólnego gmachu niepodległości państwowej*).

Jakże szybko i całkowicie zdążyły ostygnąć — nawet w takich, zdawałoby się szlachetnych i płomiennych duszach, jak ś. p. Hołówki — te „gorące sympatje ogromnej większości narodu polskiego” względem rozwoju samodzielności narodowej u swych „sąsiadów” Białorusinów i Litwinów, skoro obecnie samodzielność ta nawet przez zmarłego Hołówkę uważana jest za szkodliwy nacjonalizm, który należy tępić bez miłosierdzia w imię „polskiej racji stanu”! Technicznie zadanie się sprowadza jakby do tego tylko, aby uniknąć błędów.. Rosji, która nie potrafiła przeszkodzić rozwojowi narodowemu ludności białoruskiej i litewskiej...

Obecnie „najnowszy kurs” T. Hołówki, odrzucając wszelką „niezależność narodowych organizmów” w granicach Polski, prócz polskiego, widzi w Białorusinach jedynie tylko „ludność”, mającą wyłącznie gospodarcze, cywilizacyjne i inne życiowe potrzeby, których staranne zaspakajanie powinno z łatwością otworzyć dostęp do duszy białoruskiej politycznym i kulturalno-narodowym wpływom polskim. Negacja politycznej roli inteligencji białoruskiej, między innymi podczas ostatnich wyborów sejmowych (któremi nawiasem mówiąc kierował u nas właśnie ś. p. Hołówko), wypływa z ogólnego ducha „najnowszego kursu”, polityki polskiej w sprawie białoruskiej.

Jednakże tak stanowczego zwrotu w polityce białoruskiej rządzącego obozu nie może wytłumaczyć sam tylko fakt likwidacji narodowej białoruskiej reprezentacji w Sejmie po wyborach 1930 r. Wybory jeno świetnie rozwiązały zadanie. Lecz samo zadanie, jakoteż gwarantujące jego pomyślne wykonanie środki działania zostały obmyślane i opracowane zawczasu.

Cóż było decydującym momentem dla tego raptownego zwrotu, dla rezygnacji obozu rządzącego z polityki poważnej i sumiennej współpracy z tą najbardziej aktywną i lojalną grupą białoruską, z którą jeszcze tak niedawno została zawarta „ugoda”?

Nie popełnimy chyba błędu, jeżeli głównej przyczyny owego zwrotu będziemy się doszukiwali poza granicami Polski.

Ten moment zewnętrzny przy ustaleniu nowej linii w polityce B. B. wydaje się nam o tyle charakterystyczny, że wypada rozpatrzyć go bardziej szczegółowo.

Sulima.

List do Redakcji.

Szanowny Panie Redaktorze.

W rosyjskim dzienniku „Nasze Wremia” wychodzącym w Wilnie, (Nr. 212 z dnia 10-IX 1931 r.) w artykule Christjanina p. t. „Katolickiej maksymalizm i Konstytucja” zamieszczona została wzmianka, że „dzięki interwencji miejscowych władz nie udało się unieść Sułkowskiemu zawładnąć cerkwią prawosławną w Chotenczycach, w której pomimo to podstępnie odprawili Mszę świętą”.

Wzmianka ta jest czczym wymysłem. W Chotenczycach nigdy żadnego nabożeństwa nie odprawiałem. Władze miej-

scowe, o których wspomina autor artykułu, jakkolwiek nie pomagały, ale również nie przeszkadzały mi w mej pracy. Lepiej byłoby, gdyby autor artykułu zapoznał się z mcją skromną działalnością od osób nie zainteresowanych, a przekona się wtedy, że ludność prawosławną witała mnie jako kapłana unickiego z wielką radością. Naprzykład ludność prawosławną wsi Karpowicze na ogólnym zebraniu wicskowie w dn. 30-X 1930 r. uchwaliła prosić mnie o przyjazd na odpust miejscowej cerkwi, przytem pisano do mnie dosłownie, co następuje: „będziemy witać ojca z wielką radością”. Niechaj więc nie myśli autor, że cała ludność białoruska, tak jak on, pała nienawiścią ku unji, przeciwnie — nie mało jest tam ludzi, którzy tylko w świętej unji widzą swoje zbawienie.

Proszę przyjąć etc.

Ks. M. Sułkowski.

Kostomłoty 19-X 1931 r.

Rekordomanja.

Czy najczęściej bywa w zdrowym ciele zdrowa dusza — można nad tą kwestją dyskutować, natomiast żaden człowiek kulturalny nie będzie dzisiaj kwestjonował dodatniego znaczenia wychowania fizycznego. Ćwiczenia cielesne, o ile je stosuje się racjonalnie, rozwijają siły fizyczne, tak samo jak studia umysłowe rozszerzają wiedzę i giętkość umysłu. Chodzi tylko o zachowanie potrzebnej równowagi między rozwojem fizycznym a umysłowym.

Ten brak równowagi pomiędzy kulturą ciała i ducha można dziś uważać za najznamienniejszą cechę naszych smutnych czasów. Kultura ciała zaczyna zawracać na drogę zwyrodnienia, ponieważ przy dzisiejszej nawpół barbarzyńskiej rekordomanji sportowej nie tylko nie umacnia się zdrowie, ale wprost przeciwnie: przez rozmaite karkołomne łamańce i nadludzki wysiłek niszczy się je gruntownie. Ktokolwiek, jeszcze nie zarażony dziś psychozą rekordomanji, zobaczy jak wygląda taki biegacz lub pięściarz po swoim popisie, ten doprawdy nie jest w stanie zrozumieć, jak człowiek nieraz nawet inteligentny może rujnować swoje siły fizyczne jedynie dla poklasku bezmyślnego tłumu.

Ale spójrzmy uważniej na sposób myślenia tych bohaterów dnia i ich wielbicieli. Każdy taki rekordzista: bokser, biegacz, skoczek, bramkarz, czy inny piłkarz uważa siebie conajmniej za bohatera narodowego. Przecież na rozmaitych zawodach międzynarodowych taki wygimnastykowany młodzieniec, widząc przed sobą morze głów, w pojęciu swoim i swoich wielbicieli ma ratować honor narodu, do którego należy. Można sobie wyobrazić ile niechęci a nawet nienawiści żywi stadjonowy tłum do zwycięzcy i jego rodaków, o ile ten zwycięzca nie należy do narodowości kraju, w którym odbywają się dane zawody. Z drugiej strony czyż nie jest śmieszną tą duma „narodu zwycięskiego” w reprezentacji takiego pięściarza?

Można z całą pewnością twierdzić, iż międzynarodowe zawody sportowe, wbrew ogólnemu mniemaniu, nie tylko nie zbliżają do siebie narodów, ale wręcz przeciwnie: w skuteczny sposób pogłębiają i bez tego żarliwie panoszący się szowinizm.

Manja rekordów sportowych ogarnęła dzisiaj całą Europę, ba cały glob ziemski! Nie byłaby to jeszcze wielka bieda, gdyby te zabawy w guście rynkowego tłumu nie budziły zainteresowania w szerokich masach ludności i pośród uczącej się młodzieży. Niestety, w naszych czasach żadna kulturalna rozrywka nie ma tyle uznania i powodzenia co wi-

* J. E. Maliszewski. *Żywioł polski na Litwie*. Warszawa 1918.

dowisko o charakterze cyrkowych popisów, zaś młodzież ucząca się o wiele bardziej interesuje się stadionem niż książką.

Wilno, oczywiście, nie pozostało w „zacofaniu”. Nawet takie kulturalne imprezy, jak „Środy Literackie” w murach bazylijskich, ulegają ogólnej psychozie. Jak można sądzić z „Kurjera Wil.”, niedawno p. Jan Parandowski na „Środzie” zapoznawał wilnian ze swoją pracą p.t. „Dysk Olimpijski”. Zakończył p. Parandowski swój odczyt o igrzyskach olimpijskich temi słowy: „...Co mnie jednak najbardziej wspania w tem wywoływaniu widm i cieniów z przed XXV wieków, to to, że mogę te cienie nasycić żywą krwią naszych biegaczy i pięściarzy”. Nicby nie można było mieć przeciwko temu osobistemu pogładowi p. Parandowskiego, cała jednak tragedia polega na stwierdzeniu sprawozdawcy w „Kurjerze”, że „...co jednak było w tem najważniejsze, to ten szczególny nastrój (u słuchaczy), ten duch jak gdyby danego skupienia ludzkiego i danego czasu, który w owej wizji występował z mocą osobliwie przekonującą”.

Przy takiej konjunkturze należy spodziewać się, iż niezadługo środy literackie w „Celi Konrada” przeksztalczą się w środy pięściarskie.

Jeżeli jest mowa o igrzyskach olimpijskich w Grecji starożytnej, bardzo byłoby na czasie zaznaczyć, iż ówczesny kult ciała wcale nie górował nad kulturą duchową, a zjazdy olimpijskie były doskonałą okazją dla greckich poetów, artystów, mówców do zapoznania przybyłych ze swojemi dziełami. Herodot, naprzykład na tych olimpiadach z powodzeniem zapoznawał zebranych ze swojemi dziełami z dziedziny historii.

Czy p. Parandowski o tem na „Środzie” mówił—jakoś „Kurjer Wil.” o tem nie wspomina.

Ostatni odczyt na „Środzie” jest tylko nieznacznym refleksem tego, co się dzieje w umysłach większości wilnian. Rekord w rekordowości bije oczywiście młodzież, której najwięcej imponuje Akademicki Związek Sportowy. Ale żeby tam się przedostać trzeba być studentem, to też w kołach studenckich krążą uporczywe wersje, iż wielu pośród figurujących na liście słuchaczy U. S. B., zapisało się na Uniwersytecie jedynie poto, by być członkami A. Z. S. i zapoznać głodnych widowisk wilnian z owocami swego kilkoletniego treningu.

Jak na nasze skromne Wilno, to chyba wystarczy.

Dzisiejszy pęd ku zwyrodnieniu wychowania fizycznego jest znamieniem czasu. Przyczyn tej przesadnej rekordowości przedewszystkiem należy szukać w wyścigach militarnych dzisiejszej Europy, które nie ominęły i szkoły. Szkoły średnie dzisiejsze, stanowczo za dużo udzielają czasu ćwiczeniom cielesnym o charakterze rekordowym i militarnym, za mało natomiast udzielają czasu na zrozumienie przez uczniów właściwego zadania sportu. Inną może jeszcze głębszą przyczyną zbrodni na tle rekordowości jest zanik zagadnień ideowych w umysłach dzisiejszej młodzieży. Tam gdzie przyświeca wzniosły ideał ogarniający szerokie koła społeczne,—niema miejsca na bezmyślne treningi bokserskie, niema także publiczności ogarniętej szalem entuzjazmu na widok padającego od uderzeń pięści zawodnika. Trzecim wreszcie czynnikiem sprzyjającym rozwojowi rekordomanji jest nastawianie psychiczne mas pozbawionych prac i dostatku. Trudno znaleźć wytłumaczenie, dlaczego tłum, im bardziej czuje się nieszczęśliwy, tem więcej pożąda niewybrednych widowisk. Ze jednak

tak jest, potwierdza nietylko psychika nękanego ongiś tłumu rzymskiego, wołającego „panem et circenses”, ale także i przykłady z niedalekiej przeszłości.

Do jakich widowisk ma smak dzisiejsza publiczność—rozwódzić się zbytnio nad tem chyba nie potrzeba. Byłoby nadzwyczaj ciekawe, by dyrektorzy dzisiejszych teatrów zechcieli ogół poinformować ile to oni głowią się nad dobieraniem repertuaru, któryby zapełniał widownię i kasę teatralną. W wyniku tego dobierania widzimy sztuki, które są niczem innym jak tylko wymownem testimonium paupertatis dla dzisiejszej publiczności.

Można sobie przedstawić jakimi pustkami świeciłyby sale teatralne, gdyby powrócono do stawiania na scenie sztuk poważnych. Koncerty poważne stają się również rzadkością. Zato cyrk, wyścigi końskie, ludzkie, lub inne tego rodzaju imprezy, cieszą się powodzeniem aż nim zima tę publiczność nie zapędzi do sali balowej, gdzie cała energia ludzka wyładowuje się w foxtrotowych podrygach. Tu każdy sili się na rekordowość. Tylko o rekordowości w myśleniu jakoś mało słyhać, choć zdawałoby się, iż bezrobocie, nędza, głód i chłód powinny byłyby przyczyniać się do zastanawiania się nad dzisiejszą sytuacją w kraju i w świecie.

Wprawdzie, nie należy tracić nadziei na zwrot ku lepszemu. Rekordomanja natury fizycznej i nieprodukcyjnej zaczyna już wywoływać krytyczną ocenę. Oto niedawno Radjo Polskie, to samo Radjo, które zanudza kulturalniejszych słuchaczy codziennem informowaniem urbi et orbi kto w danym dniu okazał się posiadaczem najmocniejszych pięści, lub innych podobnych zalet,—raptem i najniespodziewaniej nadało odczyt z Warszawy potępiający sportową rekordowość. I to pod takim wymownym antykarteczju szwajskim tytułem: „nie myślę więc jestem”. Brawo!

Załowac tylko należy, że Radjo nie było konsekwentnem, bo po tym doskonalamy odczynie tegoż wieczora nadawało komunikaty o wyczynach rozmaitych Kusocińskich, Petkiewiczów i innych współczesnych „bohaterów”.
A. S.

Mocne słowa.

Represje przeciwko Polakom łotewskim wywołały, jak wiadomo, liczne protesty w społeczeństwie polskiem, a nie brakło nawet ostrych pogróżek pod adresem Łotwy.

Jak na to zareagowała opinja polityczna łotewska? Pewne pojęcie o jej nastrojach daje artykuł, zamieszczony w Nr. 241 pisma łotewskiego „Socjaldemokrata”, w którym czytamy m. in. co następuje:

Komisja wyznaczona przez Sejm do zbadania roboty polonizatorskiej na Łotwie, wykryła objawy zgoła nienormalne. Przedewszystkiem nienormalną jest rzeczą, ażeby przyznana mniejszościom narodowym autonomja szkolna wyzyskiwana była nie dla ochrony narodowo-kulturalnych interesów, lecz w celach politycznych, skierowanych przeciwko interesom państwa łotewskiego.

Z materiałów zebranych przez komisję sejmową wynikało, że w narodowych szkołach polskich w powiecie iłkustzańskim i Letgalji kultywowano nie duch państwa łotewskiego, a przedewszystkiem duch państwa polskiego. Stwierdzono też, że część duchownych katolickich również pracuje nad ugruntowaniem wpływów państwa polskiego wśród obywateli Łotwy.

Wpływowe gazety polskie i niemniej wpływowe warstwy społeczne interesują się oddawna losem politycznym 6-ciu gmin powiatu iłukszańskiego oraz „polskim” charakterem całej Letgalji, jak również dawną jej przynależnością do Polski. Jasną staje się w takich warunkach rzecz, że robota polonizatorska na Łotwie ma wielkie znaczenie polityczne. Nie jest to drobny jakiś epizod, czy drobne nieporozumienie, lecz doniosła kwestja polityczna. Nie należy o tem zapominać.

Wspomniane 6 gmin powiatu iłukszańskiego, położone są w pobliżu Dyneburga, będącego doniosłym punktem strategiczno-politycznym na wschodzie. W pewnych wypadkach komplikacyj międzynarodowych spełniałby Dyneburg bardzo doniosłą rolę militarną i polityczną. Tak np. gdyby kiedykolwiek wybuchła wojna pomiędzy Polską a Rosją, Łotwie byłoby bardzo trudno, a może nawet zgoła nie dałoby się utrzymać neutralności, o ileby w strefie pogranicznej był silny wpływ Polski.

W takiej atmosferze mogą się wyłaniać różne prowokacje. W związku z tem troska o wzmocnienie wpływów państwa łotewskiego w tej strefie pogranicznej jest pierwszorzędnym zagadnieniem.

Obecnie nacjonaliści i szowiniści polscy wszczynają niebyswały alarm zarówno na łamach prasy, jak też w sejmie (interpelacje) w sprawie „prześladowania braci—Polaków na Łotwie”.

Zaiste, szowinizm polski niema granic. Polscy nacjonaliści, którzy w swem państwie w najbrutalniejszy sposób uciskają Ukraińców i Białorusinów zaczynają pouczać Łotwę polityki względem mniejszości narodowych.

Szowinistom polskim, którzy atakują obecnie Łotwę można spokojnie odpowiedzieć: „Precz z rękami od wewnętrznych spraw Łotwy. Wprowadźcie słuszne metody postępowania względem własnych mniejszości narodowych w Polsce. Wtedy będziecie przynajmniej mieli moralne prawo mówić o sytuacji mniejszości narodowych w innych państwach”.

KRONIKA.

Akademja Witoldowa. W myśl zasady, że lepiej późno, niż nigdy, komitet obchodu w Wilnie 500-ej rocznicy zgonu W. Ks. Witolda, który miał mieć w założeniu charakter ogólno-krajowy, a siłą rzeczy stał się wyłącznie polskim, nie doprowadziwszy do skutku swego zamiaru w roku jubileuszowym, postanowił zorganizować obchód—w rozmiarach o wiele skromniejszych — o rok później, czyli w dn. 27 października 1931 roku.

Różne okoliczności wpłynęły na to, że decyzja o urzędzeniu akademji zapadła zaledwie na tydzień przed terminem, wskutek czego program uroczystości wypadł niezupełnie po myśli organizatorów. Zwłaszcza szwankowała część wokalna akademji, złożona z produkcji, nie mających żadnego związku z ideą obchodu. Ale na przygotowanie bardziej odpowiednich popisów zabrakło czasu.

Clou akademji stanowiło dłuższe przemówienie prof. O. Haleckiego, wygłoszone bezpośrednio po zagajeniu akademji przez przewodniczącego komitetu prof. W. Stanisławicza. Prof. Halecki jest świetnym mówcą, to też publiczność, szczerze wypełniająca Aulę Kolumnową w uniwersytecie, wysłuchała barwnego i z wielką swadą wypowiedzianego referatu warszawskiego uczonego o Witoldzie Wielkim z żywym zadoleniem. Inna rzecz, że niektóre twierdzenia prelegenta nie miały siły przekonywającej i że ujęcie przezeń tematu nie było ściśle naukowe. Rozważania „błędów” Witold i Jagielly, nie licują z obiektywizmem historycznym. Przy analizie działalności postaci dziejowych mianem błędu można określać jedynie taki czyn lub posunięcie z ich strony, które były w sprzeczności z wytkniętym przez nie celem, a właśnie o celach i ideach Witolda prof. Halecki mówił bardzo skąpo. Zakończenie wreszcie odczytu, chociaż nader efektowne, raziło nie-

co swym patosem. Z uznaniem jednakże należy podkreślić, że prelegent zachował w swych wywodach wielki takt i umiar, unikając wszelkich jaskrawych momentów.

Następne i końcowe zarazem przemówienie prof. Limanowskiego było co najmniej zbytecznym. Pobłażliwy uśmiech, jaki mczna było zauważyć na twarzach licznych słuchaczy, nie sprzyjał wytworzeniu podniosłego nastroju wśród zebranych. Zresztą atmosfera na sali wogóle była dość chłodna. Znać było, że publiczność stawiała się raczej z obowiązku i ciekawości, niż z popędu serca.

Stało się zadość przyzwoitości: tak można dosadnie scharakteryzować obchód wileński w 501 rocznicę zgonu wielkiego budowniczego państwa litewskiego.

Poświęcenie nagrobka ś. p. Tadeusza Wróblewskiego. Chociaż ś. p. Tadeusz Wróblewski wystawił sobie pomnik *aere perennius* zarówno swą działalnością społeczną, jak też fundacją biblioteki, która stanowi cenną pozycję w dorobku kulturalnym Wilna, byłoby niewdzięcznością i dowodem braku pamięci ze strony społeczeństwa, gdyby pozwoliło Jego mogile zarastać zielskiem i chwastami.

Komitet T-wa Poinocy Naukowej Im. E. i E. Wróblewskich, któremu zmarły przekazał opiekę nad biblioteką, uważał za swój obowiązek przeznaczyć część odziedziczonych funduszy na uczczenie pamięci założyciela T-wa za pomocą artystycznego pomnika na Jego grobie. Zadania tego podjął się i wykonał je z powodzeniem artysta—rzeźbiarz R. Jachimowicz.

Dn. 28 października, jako w dniu patrona zmarłego, po nabożeństwie żałobnym w kościele św. Jana ks. Lewosz dokonał poświęcenia nagrobka i wygłosił następnie przemówienie, podnosząc zasługi nieboszczyka, który przez całe życie występował w obronie uciskanych i prześladowanych i był wzorem prawego obywatela kraju.

Ze względu na dzień powszedni obrzęd zgromadził szczerze tylko grono krewnych, przyjaciół i kolegów zmarłego.

Rzeczywista rzeczywistość. Osoba wiarogodna opowiadała nam o następującym fakcie, zakrawającym na anekdotę.

Pewnemu włościaninowi za dług wynoszący 98 zł. sekwestrator zajął konia, którego ocenił w kwocie 100 zł. Na licytacji jednak, która się odbyła w 12 dni potem, koń został sprzedany zaledwie za 38 zł. Do tej sumy zostały doliczone kcszy utrzymania konia przez 12 dni, po 3 zł., co wyniosło 36 zł. oraz koszty egzekucji w kwocie 6 zł., czyli razem 42 zł. W rezultacie włościanin stracił konia i dług swego nietylko nie umorzył, lecz go powiększył o 4 zł. Poważny lekarz, a zarazem właściciel ziemski, który nam tę historję opowiadał, rzezył za jej autentyczność.

Absurdy życiowe. Z powodu braku paszy włościanie gromadnie pozbывают się swego inwentarza. Z tego powodu ceny nań są niezwykle niskie. Krowę z łatwością można nabyć za 40 zł., a konia nawet za 20 zł. Nierogaczna, drób i t.p. również są sprzedawane za bezcen: za barana płacą około 8 zł., za prosię 2 zł. za kurę 1 zł., a jednocześnie list polecony kosztuje 1 zł., tyleż paczka zapalek, tyleż mniejwięcej przejazd III-cią klasą od stacji do stacji (około dwudziestu klm). Niewspółmierność cen produktów żywnościowych i towarów monopolowych oraz środków komunikacji jest niesłychanie rażąca. Mimo to, mało kto zwraca uwagę na powyższe absurdy.

Bezmyślne naśladownictwo. Jeden z przyjaciół naszego pisma, zastanawiając się nad przyczynami znanego ogólnie zjawiska, że żywiły napływowe wypierają element miejscowy i traktują go z pewnym lekceważeniem, doszedł do przekonania, iż głównym powodem upośledzenia autochtonów jest brak z ich strony odporności na wpływy zewnętrzne, nieuzasadniona potulność, a przedewszystkiem zbytnia pochopność do przyswajania sobie wszelkich naleciałości obyczajowych i językowych, jako form rzekomo wyższych, bardziej poprawnych i kulturalnych, a w rzeczy samej najczęściej zasługujących na ironiczny uśmiech.

Wiele np. firm i instytucyj miejscowych używa obecnie w odezwach i listach do publiczności dziwacznej galicyjskiej formułki P. T., nie bardzo nawet rozumiejąc, co te dwie litery oznaczają. Pewien fryzjer przy ul. Portowej wystawił nawet w oknie cennik z napisem u góry: „Uwaga! Szanowna P. T.” Pocziwiec ten zapewne jest przekonany, że P.T. jest skrótem jakiegoś rzeczownika, odpowiadającego pojęciu klienta... Bardziej świadomi wiedzą, że są to inicjały łacińskich wyrazów *pleno titulo*, ale dlaczego należy zwracać się do publiczności w ten sposób—z tego nikt sobie nie zdaje sprawy Ot, zwykle malpowanie obcego zwyczajul

A taki galileusz, gdy widzi, jak ludność miejscowa bezkrytycznie i z nabożeństwem imituje jego rodzime wzory, które sam on uważa za śmieszne przeżytki, mimowoli nabiera poczucia wyższości i zaczyna używać tonu protekcyjnego. Jest przecież reprezentantem prawdziwej kultury i ogląda na ciemnych, dzikich kresach!

